

Polemiki i dyskusje

Witold Mackiewicz

Moderato cantabile

Jestem wdzięczny redakcji „Przeglądu Filozoficznego — Nowej Serii” (nr 3, 2001) za udostępnienie swoich łamów autorom wypowiedzi poświęconych opracowaniu zbiorowemu *Polska filozofia powojenna*. Dziękuję też autorom owych wypowiedzi: każda krytyka, rzeczowa czy ironiczna, stwarza okazję do zadumy, zatem ma walor kształcący.

Oto nie spodziewałem się, że to dwutomowe opracowanie, używając kryteriów Władysława Krajewskiego z tego samego numeru „PF”, bliższe jest dziełu artystycznemu niż naukowemu, bowiem rozpała emocje. Może jednak nie tylko dzieła sztuki działają na wyobraźnię i uczucia, ale także próby rekonstruowania dziejów idei i ludzkiej działalności, zatem próby, w obrębie których autorski sposób ujęcia tematu i także jego realizacja są nieusuwalnym elementem i warunkiem wszelkiego działania badawczego?

Przed paroma laty profesor Andrzej Grzegorzczak, także na łamach „PF” (nr 4, 1997), wyraził opinię: „Albo dążymy do uzgodnienia poglądów i wówczas szukamy najlepszej metody filozoficznej analizy i do niej staramy się przekonać innych, albo na pojednaniu międzyludzkim nam nie zależy i wówczas zwykle cenimy dzisiaj oryginalność, paradoksalność i dowcip”. Wypowiedzi, o których będzie tu mowa, zawierają powyższe elementy rozmów między ludźmi. Można by wzruszyć ramionami i niektóre z nich pominąć milczeniem. Jednak w Polsce, niezależnie od wieku, jest sporo młodzieży filozoficznej, dla której każde słowo drukowane jest równoznaczne z werdyktem wyroczni.

Ze względu na niepowtarzalny klimat niektórych wypowiedzi, mógłbym pominąć je milczeniem albo na ich autorów natrzeć z furją. Wybieram drogę pośrednią, umiarkowaną. Jeśli jednak uwagi opiniodawców pomnę, to dlatego, że z jednymi się zgadzam, a z niektórymi nie będę polemizował. Jeszcze inne wchodzą w zakres osobistych upodobań autorów, do czego mają prawo. Odpowiem tylko na te, które nasuwają wątpliwości wymagające wyjaśnienia bądź na oczywiste błędy.

Pan profesor Stanisław Borzym wytknął mi błąd z nazwiskiem Antonio Gramsciego: oto napisałem, że Brzozowski się na nim wzorował. Chodziło, rzecz prosta, o Antonio Labriolę. Przyznaję, że podobnych przykrych pomyłek jest kilka: Zygmunt Augustynek wystąpił jako A. Augustynek (1, 33), przy czasopiśmie „Etyka” opuściłem nazwisko prof. Henryka Jankowskiego (1, 39), imię Stefana Swieżawskiego zostało wydrukowane jako Stafen (1, 59), Tomasz Stępień — jako Tadeusz Stępień (1, 314), na zdjęciu Mariana Przełęckiego, które wykonała jego żona, jest jakoby obecna także Ona (2, 500), zaś Czesławie Piecuch przypisałem całkowicie Jej obce imię Wiesławy (2, 5 i 501). Mimo wielokrotnego czytania tekstu przeze mnie i przez inne osoby, błędy te pozostały. Wina jest bezwzględnie moja, a zaistniałe błędy, te i inne, powstały, jak przypuszczam, na skutek mojego skrajnego wyczerpania fizycznego i psychicznego w okresie między czerwcem a wrześniem 2001 r.

Profesor Ryszard Wójcicki wyraził się o publikacjach w „Studiach Filozoficznych”, z okresu, kiedy prof. Janusz Kuczyński organizował „Spotkania młodych marksistów”, jako o „notatniku agitatora”. A przecież jako uczony wie, że traktowanie w ten sposób wszystkich autorów tego czasopisma jest i krzywdzące, i fałszywe — winien wskazać imiennie, o jakie teksty chodzi i co Mu się w nich nie podoba. A tak — w świat poszedł epitet.

Prof. Jacek Juliusz Jadacki został urażony pisownią z małych liter ugrupowania intelektualnego, zwanego szkołą lwowsko-warszawską. Uczciwie przyznał, że nie tylko ja popełniłem to wykroczenie. Powołał się na to, że „Szkoła Lwowsko-Warszawska” jest to imię własne pewnej grupy filozofów, jak np. „Koło Wiedeńskie”. Mogę się, oczywiście, mylić, ale wydaje mi się, że imiona własne są nadawane instytucjom, stowarzyszeniom, osobom itp. — na mocy aktów administracyjnych i sądowych. Może Jacek J. Jadacki wydał w tej sprawie jakiś dekret, ale ja go nie znam. Nie znają go także inni, ba, nie znał go także sam Kazimierz Twardowski i jego najbliżsi współpracownicy. Jedni mówili „szkoła Twardowskiego”, inni „szkoła lwowska”, jeszcze inni — „szkoła warszawska”, bardzo wielu zaś — tak zwana „szkoła lwowsko-warszawska”, a nawet niektórzy admiratorzy Twardowskiego z uporem twierdzą, że będą tę nazwę pisać małymi literami (J. Woleński: *Odpowiedź J. J. Jadackiemu*. „Edukacja Filozoficzna” 13/1992, s. 94. O historii tej szkoły i jej nazwy pisał Ryszard Jadcak: *Kazimierz Twardowski — twórca szkoły lwowsko-warszawskiej*. Toruń 1991, s. 107-115). Stosunkowo niedawno fetowano setną rocznicę inauguracyjnego, akademickiego przemówienia Kazimierza Twardowskiego i ogłoszono je momentem inicjującym powstania „Szkoły Lwowsko-Warszawskiej”. Sądzę, że jest to przywłaszczenie sobie pewnego faktu historycznego, bo dokonane bez zgody bezpośrednio zainteresowanego. Ponadto nazwa „Koło Wiedeńskie” jest częścią nazwy książki, jaką Schlickowi złożyli współpracownicy (Carnap, Hahn i Neurath), a niemieckie „Der Wiener Kreis” pisze się dużymi literami — ze względów gramatycznych, choć może też i innych. W każdym

razie nazwy własne, to są, między innymi: Jacek Juliusz Jadacki, Zakład Semiotyki Logicznej, Polskie Towarzystwo Semiotyczne — wszystkie mają status prawny. Nie mam nic przeciwko pisaniu nazwy „Szkoła Lwowsko-Warszawska” przez innych z dużych liter, ale mnie jurysdykcja Jacka J. Jadackiego nie obejmuje.

Jacek J. Jadacki pisze, że odmówienie przezeń prof. Romanowi Ingardnowi miana autora prac fenomenologicznych było komplementem, a nie zarzutem. Posługując się podobną retoryką, odpowiem, że zestawienie krytyki R. Ingardena dokonanej przez J. J. Jadackiego z krytyką Ingardena skomponowaną przez Tadeusza Krońskiego, nie jest dla Jadackiego ujmą, bo wiadomo, że Tadeusz Kroński wielkim filozofem był, o czym piszą inni moi polemici.

Indoktrynacja kościelna była dobrowolna, zaś indoktrynacja PRL przymuszona — pisze Jacek J. Jadacki. Nie sędzę, aby tak było. Jacek J. Jadacki mógł wstąpić do zakonu, mógł żyć w odosobnieniu, mógł robić wiele innych chwalebnych rzeczy umożliwiających wymknienie się spod indoktrynacji państwa totalitarnego. To, że wybrał drogę, jaką wybrał, sytuuje Go na tej samej pozycji, co adepta powołania kapłańskiego: każdy decyduje o sobie.

Ten sam polemista pisze, że Kazimierz Twardowski nie filozofię nauki, ale samą naukę określał jako „kompleks sądów”. Czyżby więc filozofia nauki, w obrębie tej koncepcji wiedzy, nie była nauką?

Andrzej Kołakowski ubolewa, że moje *Wprowadzenie* oraz autorskie opracowania innych autorów — nie są wzajemnie „kompatybilne”. Nie są, z wielu uzasadnionych względów. Gdybym własny tekst uzgadniał ze wszystkimi autorami, to dopiero byłaby „operetka”, że użyję określenia moich polemistów. Każdy autor miał prawo do własnego ujęcia opracowywanego przez siebie tematu. Co prawda, niektórzy zgłaszali zastrzeżenia pod adresem innych, a nawet domagali się zmian w tekstach (np. to, aby prof. Jana Legowicza nazywać „towarzyszem”, bo tak, jeszcze w latach 60., zwracał się do studentów podczas prowadzonych przez siebie wykładów), ale takie propozycje były odkładane do archiwum. Jeden tylko raz interweniowałem zdecydowanie, gdy autorka odmówiła opisanie działalności prof. Leszka Kołakowskiego w latach 50. — znalazłem do tego zadania innego autora. Innymi słowy — skoro dałem możliwość innym autorom pisania we własnym imieniu i prawo podpisywania własnych tekstów swoim nazwiskiem, to oczekiwałem dla siebie podobnych przywilejów. Problem pojawiłby się wówczas, gdyby różne osoby o tych samych faktach historycznych dawały inne świadectwo.

Jeśli chodzi o braki personalne, to rzecz wyjaśniam następująco. W „Edukacji Filozoficznej” nr 31 (2001, s. 94) ukazał się komunikat w sprawie przygotowywanego druku *Polskiej filozofii powojennej*, z podaniem kompletnej listy 53 nazwisk. Natomiast w książce zostało uwzględnionych 46 nazwisk, zaś do całości nie weszły następujące postaci: Stefan Amsterdamski (wykonawca nie wywiązał się z zadania), Bronisław Baczko (wykonawca nie wywiązał się z za-

dania), Izydora Dąmbska (wykonawca... itd.), Andrzej Grzegorzczak (nie znalazłem wykonawcy), Stanisław Ossowski (wykonawca... itd.), Antoni B. Stępień (wykonawca... itd.), Klemens Szaniawski (wykonawca... itd.), ponadto nie znalazłem wykonawcy dla Janusza Kuczyńskiego. W komunikacie tym napisało między innymi: „Zwracamy się do Państwa z prośbą o zgłaszanie nazwisk filozofów polskich, których obecność w naszym opracowaniu jest — Państwa zdaniem — niezbędna”, i podano kryteria. Ale wówczas Andrzej Kołakowski milczał, a teraz biadoli nad rozlanym mlekiem.

Z całą mocą ponownie stwierdzam, że profesorowie Bronisław Baczko i Leszek Kołakowski, sygnatariusze listu do prof. Władysława Tatarkiewicza w sprawie prowadzonego przezeń Seminarium Filozoficznego I, mieli kilkadziesiąt lat na to, aby uznać swój błąd. Wybrali działalność w krajach, w których wolność słowa była znaczna, ale z niej nie skorzystali. Przeprasili za swój czyn, ale wtedy, gdy zostali poinformowani o zamiarze opublikowania kompromitujących ich materiałów. Gdyby nie to, prawdopodobnie milczeliby nadal! Dlatego uważam, że owe przeprosiny, jako wymuszone, nie mają żadnej wartości.

Kryterium dyplomu doktorskiego, pisanego pod kierunkiem określonej osoby, jako dowód przynależności do grona jej uczniów, jest zawodne. Ja zastosowałem kryterium najprostsze, chociaż kontrowersyjne: jedni historycy filozofii bezstronnie odsłaniali przeszłość, i tym patronuje Władysław Tatarkiewicz, inni zaś uważają, że historyk idei współtworzy — z różnych względów — obraz przeszłości i ponosi odpowiedzialność za swoją rekonstrukcję oraz interpretację dziejów. To, czy ktoś pisał pracę doktorską u iksa czy igreka — nie gra roli. Świadczy o tym nie tylko mój przykład, ale także Jacka Hołówki czy wielu innych. Jacka Hołówkę spotkałem na korytarzu w Instytucie Filozofii UW i zapytałem, z jakim nurtem intelektualnym się identyfikuje i kto był Jego nauczycielem? Odpowiedź była jednoznaczna: identyfikuje się z nurtem filozofii analitycznej, a Jego mistrzowie to Russell i Tarski. Mógłbym, ze względu na przynależność Russella do brytyjskiej filozofii analitycznej i doskonałą znajomość języka angielskiego przez Jacka Hołówkę, zaliczyć mojego rozmówcę do brytyjskiej filozofii analitycznej, ale zaliczyłem Go do rodzimej. Nie sądzę też, by Jacek Hołowka żartował, pod pretekstem, że inną wersję swego życiorysu ma dla rozmówców korytarzowych, a inną — dla salonowych. Jeśli zaś Andrzej Kołakowski zna lepiej prawdę o Jacku Hołowce niż sam Jacek Hołowka, to winien ją jak najszybciej ujawnić.

Krzysztof Michalski opublikował następujące prace: *Rozum, słowo, dzieje* (o Gadamerze); *Aufklärung heute: Castalgandolfo — Gespräche*; *Heidegger i filozofia współczesna*; *Logika i czas: próba analizy Husserlowskiej teorii sensu*; ostatnio doszedł Nietzsche, może coś jeszcze. Nie widzę w tych publikacjach nic, co by nie było niemieckie (poza autorem i językiem polskim, w którym czasami pisze).

Ani Helena Eilstein, ani Władysław Krajewski nie oponują przeciwko wyrażeniu o tej pierwszej „koleżanka Władysława Krajewskiego”. Razem pracowali, razem realizowali zadania badawcze (seminaryjne), zatem Andrzej Kołakowski chyba ma na myśli nie to, co ja miałem na myśli, chociaż nie wiem, co On ma na myśli.

Wreszcie „błąd w dacie urodzenia: rok 1919 zamiast 1924. Rozbieżności w datach urodzenia podawanych w różnych dokumentach przez osoby, które przeżyły wojnę i okupację, związane są z reguły z wymogiem posiadania odpowiedniego wieku przy wstępowaniu do wojska; różne daty urodzenia można także znaleźć np. w dokumentach uniwersyteckich Adama Sikory” — twierdzi Andrzej Kołakowski.

Drogi polemisto, jeśli powiedziało się „a”, to należy powiedzieć „b”; skoro zaś brakuje odwagi bądź rzetelności, to zrobię to ja, chociaż niechętnie.

Rok 1919 jako datę urodzenia prof. Bronisława Baczki podałem z dwóch powodów: w dokumentach osobowych nie ma najmniejszego śladu, uzasadniającego podanie roku 1924 jako prawdziwej daty urodzenia. Gdyby jednak taką datę przyjąć, to wynikają z tego konsekwencje, których chciałem uniknąć. Ale Andrzej Kołakowski, jako *advocatus diaboli* Bronisława Baczki, mnie do tego zmusza.

Dnia 16 IX 1947 r. Wydział Personalny Głównego Zarządu Polityczno-Wychowawczego Wojska Polskiego wystawił zaświadczenie złożone przez Bronisława Baczkę w Dziekanacie Wydziału Humanistycznego UW, że tenże do Wojska Polskiego wstąpił 8 VI 1944 r. Skoro B. Baczko urodził się w 1924 roku, to w 1944 roku miał 20 lat i żadne cofanie daty urodzenia o pięć lat po to, aby wstąpić do wojska w czasie wojny — nie było potrzebne; do wojska przyjmowano wówczas osoby o wiele młodsze. Rzecz — moim zdaniem — ma inne podłoże. W okresie między 27 X 1943 r. a 10 VI 1944 r. (nieco ponad pół roku) Bronisław Baczko był słuchaczem Syberyjskiego Metalurgicznego Instytutu im. Sergo Ordżonikidze, gdzie zaliczył kilka przedmiotów wykładowych. Jako człowiek wykształcony, mógł przyjąć, że w wojsku lepiej będzie uchodzić za przedstawiciela elity intelektualnej, a nie za zwyczajnego rekruta. Dlatego poinformował władze wojskowe, że przed wojną posiadał wykształcenie średnie i że ma maturę, a wiadomo, że przedwojenna matura, to nie w kij dmuchał. Nie mógłby tego uczynić, gdyby podał rok 1924 jako datę urodzenia, więc przesunął ją o pięć lat wstecz. Dzięki temu, wstępując do wojska w 1944 r., „miał” 25 lat i w ciągu roku mógł dosłużyć się stopnia kapitana.

Kiedy wojna się skończyła, Bronisław Baczko mógł wprowadzić sprostowanie do własnego życiorysu, ale to mogłoby się komuś nie spodobać; może byłby zdegradowany, pozbawiony zaszczytów? Zwłaszcza, że w 1945 roku postanowił wstąpić na Uniwersytet Warszawski. Píše więc następujący życiorys: „Urodziłem się w 1919 roku w Warszawie. W 1928 roku wstąpiłem do Szkoły Powszechnej, w 1939 roku zdałem maturę [...]”. Tak więc z „zyciorysu” widać,

ze Bronisław Baczko odbył naukę w szkole średniej i zakończył ją maturą. Ktoś w Uniwersytecie Warszawskim nie chciał chyba dać temu wiary, bo Bronisław Baczko przedstawił następny dokument: „My, niżej podpisani, Kalinowska Irena, kpt. W. P. i Zawadzka Halina, kpt. W. P., stwierdzamy, że znany nam mjr Baczko Bronisław rzeczywiście ukończył w czerwcu 1939 roku Liceum w średniej szkole Towarzystwa «Laor» w Warszawie i otrzymał świadectwo dojrzałości”. Aby uwiarygodnić tę wersję, Bronisław Baczko przedłożył następny dokument: „My, niżej podpisani stwierdzamy pod rygorem skutków odpowiedzialności sądowo-karnej, że ob. major BACZKO BRONISŁAW, syn Adama i Teofili z domu Sterling małżonków Baczko — urodził się dnia 13 (trzynastego) czerwca 1919 (tysiąc dziewięćset dziewiętnastego) roku w Warszawie przy ulicy Zamenhofa pod N. 44”. Dokument notarialny (notariusz Stanisław Pliszczyński) podpisali: Maria Szenker i Michał Górski. Data wystawienia dokumentu — 3 XII 1945 r.

Dzięki temu... „Ministerstwo Oświaty stwierdza — na podstawie pośrednich dokumentów — że Obywatel mjr Baczko Bronisław ur. dnia 13 czerwca 1919 roku w Warszawie ukończył szkołę średnią uzyskując świadectwo dojrzałości w roku 1939 w praw.¹ Gimnazjum T-wa «Laor» w Warszawie. Wobec tego mjr Baczko Bronisław uprawniony jest do ubiegania się o przyjęcie do wszystkich szkół wyższych w Polsce. Dyrektor Departamentu H. Garbowski”. Dokument z dnia 30 lipca 1947 r.

Andrzej Kołakowski uważa, że posługiwanie się podwójnymi datami urodzenia przez reprezentantów pokolenia wojennego było sprawą naturalną, a nawet prof. Adam Sikora (ur. 1928) także posługiwał się drugą datą urodzenia (1927, i to jeszcze w latach 70.). Kiedy Andrzej Kołakowski zostanie profesorem, to zapewne też zaopatrzy się w drugą datę urodzenia, która będzie mogła oznaczać Jego mistyczne poczęcie. Jednak przyczyna pojawienia się daty urodzenia 1919 r. w życiorysie Bronisława Baczki nie jest mistyczna, a prozaiczna, i w żadnym razie nie była podyktowana chęcią wstąpienia do wojska, natomiast mogę domniemywać, że chęcią szybkiego zrobienia kariery — na podstawie sfalszowanych danych życiorysu. Skoro w czasie wojny się to udało, to tę szczęśliwą passę można było (i rzeczywiście było to możliwe) kontynuować po wojnie.

Dr hab. prof. UW Stanisław Pieróg wytknął mi, że „wśród beładnej mnogości zaprezentowanych «szkół i orientacji» zabrakło orientacji marksistowskiej”. Otóż zabrakło, bo to żadna orientacja czy szkoła, tak jak nie jest orientacją czy szkołą filozofia chrześcijańska bądź empiryzm brytyjski. Resztę uwag dr. hab. prof. UW Stanisława Pieroga pomijam milczeniem, ubolewając na koniec, że jako kierownika Zakładu Historii Filozofii Polskiej w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, nie poprosiłem Go o opinię wydawniczą czy o inną radę. To był mój duży, niewybaczalny błąd.

¹ Błąd w dokumencie; powinno być: pryw.[atnym].